

Witam Panie Wiesławie.

W nawiązaniu do tego artykułu chciałem dodać i swoje wspomnienia. Dla upamiętnienia wszystkich pomordowanych w kościele poryckim w niedzielę 11 lipca 1943 roku.

Jak Pan może, to proszę Pana o opublikowanie tych moich wspomnień.

Jakoś nie dogadałem się, z redaktorem z Krakowa , lub on zrezygnował, bo do mnie się nie odezwał.

ZBLIŻAJACA SIĘ 70 ROCZNICA MORDERSTW NA WOŁYNIU PRZEZ UKRAIŃSKIE BANDY U. P. A.

Historia rodziny Jezierskich

Jak pisze mój ojciec, nasz przodek Ignacy Jezierski urodził się około 1820 r. na Podlasiu Lubelskim. Do Porycka przyjechał w roku 1840, rozpoczął pracę u hrabiego Czackiego, po pewnym czasie został marszałkiem dworu.

Za swoją pracę otrzymał od hrabiego dom z ogrodem w Starym Porycku. Ożenił się z Antoniną, córką rządcy ze Starego Porycka. Zmarł dość młodo i został pochowany na cmentarzu w Porycku Pawłówce. Żona Antonina urodziła pięcioro dzieci; Marię, Józefa, Franciszka, Bronisława i Anastazję. Maria była u stryja Franciszka w Warszawie na wychowaniu, tam wyszła za mąż za Tura herbu Korczak. Zmarła w Krakowie, pochowana w grobowcu rodzinnym na Powązkach w Warszawie. Emilia wyszła za mąż za Rosakiewicza i wyjechała do Rosji. Po rewolucji już nie dali znaku życia, Średni brat Franciszek zmarł w młodym wieku, pochowany w Pawłówce. Bronisław zginął na wojnie rosyjsko - japońskiej. W domu ostatecznie pozostał tylko mój dziadek Józef Jezierski, urodzony w 1864 roku w Starym Porycku, i to on otrzymał w spadku dom po rodzicach wraz z ogrodem.

Pracował w majątku hrabiego Czackiego tak jak jego ojciec, tylko, że jako kołodziej. Ożenił się z Jadwigą Ulanowską z okolic Porycka, zamieszkali w starym domu, razem z prababką, Antoniną. Prababka Antonina zmarła kilka lat po mężu i jest pochowana w rodzinnej mogile Jezierskich, pochowanych na cmentarzu w Porycku Pawłówce. Pochowany tam jest też średni brat mojego ojca (imienia nie pamiętam).

Mój ojciec Aleksander Jezierski urodził się w 1898 roku, a jego młodszy brat Eugeniusz w 1910 r., był jeszcze jeden brat, zmarł w młodości. Aleksander do 1915 r. uczył się w szkole rolniczej w Cholenderni. Czym zajmował się najstarszy brat Kazimierz, ojciec nie wspomina (pamiętajmy, że działo to się pod zaborem rosyjskim). Po ukończeniu szkoły Aleksander jakiś czas pracował w majątku Stary Poryck, ale tamta praca mu nie odpowiadała. Dalej trwała wojna pomiędzy zaborcami Polski, Niemcami, Rosjanami i Austrią. Front zbliżał się do Porycka. Rodzina Jezierskich postanowiła uciekać w głąb Rosji. W 1916 roku wraz z całą rodziną Józef Jezierski, uciekając przed niemieckimi wojskami, które zbliżały się do Porycka,

jedzie w głąb Rosji. W Rosji zatrzymuje się w powiecie Winnickim, rozpoczyna prace w cukrowni Gniewań. W cukrowni pracował dziadek Józef, synowie Aleksander i Kazimierz.

W 1917 r. Aleksandra powołali do carskiej armii, skąd po pół roku uciekł. Od 1919 roku Kazimierz służył w polskim wojsku u gen. Dowbora Muśnickiego. Niemcy Kazimierza rozbroili i wraz z Aleksandrem wrócili do Gniewania, ojciec pracował dalej w cukrowni, a synowie chodzili do lasu pracować przy wyrębie drzew.

Był rok 1917, okres bolszewickiej rewolucji, władze ciągle się zmieniały. W 1919 roku Aleksandra i Kazimierza bolszewicy powołali do Czerwonej Armii do 58 pułku Kijowskiego ochrony kolei. Pułk został przeniesiony do Owrucza, a pod koniec 1919 roku przeniesiono go na Polski front. I tu zaczęła się tragedia, połowa kompanii to byli Polacy, a front stał koło Turowa. Kazimierz z kilkoma kolegami jednej nocy przeszli na polską stronę. Za kilka dni Aleksander miał z kolegami też przejść linie frontu, nie udało się, bo pułk przeniesiono na Wołyń. Aleksander w pułku był dostawcą prasy, pojechał po prasę i więcej do pułku nie wrócił.

Był to już rok 1920, Piłsudski szedł na Kijów. Powstała możliwość powrotu do Starego Porycka. W połowie czerwca 1920 roku, po wojennej tułaczce znów byli w domu, niestety Kazimierz zaginął, nawet nie wiadomo, gdzie został pochowany. W roku 1920 latem wrócili do Porycka bolszewicy, ale szczęście nie na długo. Zimą Jezierscy mieszkali już w nowej niepodległej, nie znanej nam dotąd Polsce.

Potem rodzina Jezierskich zamieszkiwała nadal w Starym Porycku.

Dziadek był kołodziejem, miał swój warsztat, Aleksander uczęszczał do szkoły rolniczej, a Eugeniusz do podstawówki.

Po jakimś czasie zaczęli pracę w Macierzy Szkolnej jako instruktorzy. Prowadzili dział stolarsko - kołodziejski.

Aleksander w 1929 roku ożenił się z Kazimierą Bańcer. A rok później urodziłem się ja, Ryszard. W roku 1931 urodził się mój brat Mieczysław.

W roku 1936 Aleksander pobudował dom w Porycku (3 km o Starego Porycka). Założył tam swój warsztat stolarski, zatrudniając Ukraińców jako uczniów.

Tak pracował razem z ojcem i uczniami aż do wkroczenia Sowietów 22 września 1939 roku. Za władzy sowieckiej musiał założyć spółdzielnię. Nie był już właścicielem, ale kierownikiem. Tak pracowano do 21 czerwca, gdy to wojska niemieckie wkroczyły do Porycka. Poryck został spalony w 80%. A społeczność żydowską Niemcy wraz z Ukraińcami w 1942 roku wymordowali.

Teraz po spaleniu się naszego domu zamieszkaliśmy w baraku wraz z rodzinami ukraińskimi ze spalonej Pawłówki. Ojciec dalej prowadził warsztat stolarski do spółki z panem Szażyńskim, w nadpalonym budynku obok kościoła.

Mama z końcem maja 1943 roku wyjechała z bratem Mietkiem do Karnkowa do dziadków Bańcerów.

Pomagała im w tej podróży jakaś znajoma Taty. Mama była już wówczas bardzo chora. Zresztą ostatecznie nasze rodzinne zdjęcie na to wyraźnie wskazuje. Jeszcze jakiś czas mieszkaliśmy z tatą, w baraku razem z ukraińskimi rodzinami. Ale bandy UPA coraz częściej zaglądały pod nasze domy, [banderowcy] przychodzili do swoich znajomych. Niby w odwiedzinach sąsiedzkich, ale wypytywali, jacy to Polacy mieszkają w baraku. Wówczas my z tatą przeprowadziliśmy się na Michałówkę do wuja Palinki. Tam był duży dom i mieszkało kilkanaście osób z rodziny. Tata myślał, że w takim większym gronie Polaków będzie bezpieczniej, jednak się mylił.

Palinko, był stryjeczny wujem mojego ojca, miał już około 70 lat, od jak pamiętam to od zawsze był kościelnym. Tego rana 11 lipca 1943 roku, spotykając mojego ojca powiedział, ale mamy ładną pogodę, (nie było żadnej chmurki na niebie) będzie dużo ludzi w kościele, bo i to chyba ostatnia niedziela przed zniwami. I poszedł do kościoła. My z tatą i Tośkiem Gąsiorowskim poszliśmy na sumę (to tak na godzinę 11:00) do kościoła. Mama Tośka była w innej wsi u znajomych, a siostra [nie pamiętam jej imienia] poszła do kościoła z koleżanką. Jak zwykle my z Tośkiem stanęliśmy przed ołtarzem po lewej stronie, stało tam jeszcze kilku chłopaków. Dziewczyny stały po prawej stronie ołtarza. Tata zawsze stał przy oknie na korytarzu, (kościół w Porycku miał krużganek wokół kościoła) patrząc prosto na ołtarz. W kościele jak spostrzegłem było dość dużo ludzi. Były tam całe rodziny, z małymi dziećmi na rękach. Wuj Palinko (kościelny) zadzwonił sygnaturką, a po chwili wszedł ksiądz Szawłowski z ministrantami, rozpoczęła się suma (nabożeństwo). Już nie pamiętam, w jakim momencie, ktoś wszedł do kościoła i krzyknął Ukraińcy - UPO-wcy są przed kościołem.

Zrobiło się ogromne poruszenie, ludzie zaczęli biegać, (do drzwi i z powrotem do ołtarza) dzieci płakały. Ale msza trwała nadal. Dopiero gdy otworzyły się główne drzwi i z nich zaczęto strzelać z karabinu maszynowego, zrobił się popłoch, ogromny krzyk i lament. Ludzie biegali tam i z powrotem, padali, klękali, modlili się i krzyczeli, a najwięcej było słychać krzyki małych dzieci. Nie pamiętam już jak, ale zgubiłem gdzieś w tłumie i ścisku Tośka. Zacząłem uciekać do drzwi wejściowych bocznych, przy drzwiach powstał ścisk i zamieszanie. Jak potem zrozumiałem, to ojciec mój odwrotnie, po usłyszeniu strzałów wchodził z korytarza (krużganku) do kościoła, i jakimś cudem spotkaliśmy się tuż pod chórem (tam gdzie organista Zegarski grał do mszy na klawikordzie). Ojciec złapał mnie za rękę i pociągnął do wieży i schodami na chór. (Karabin maszynowy cały czas strzelał), słychać było także pojedyncze strzały karabinowe. Tam już był pan Zegarski, [organista] i jeszcze parę osób (nie pamiętam już ich nazwisk). Byli to znajomi mego ojca. Oprócz mnie było tam jeszcze kilka małych dzieci. Ojciec z Zegarskim pamiętali, że drzwi z wieży na poddasze krużganków, zostały zamurowane tylko na płaską cegłę i to na glinę, bo nie było wówczas cementu. Ponieważ nie było żadnych narzędzi, tata z Zegarskim scyzorykami zaczęli wydłubywać glinę i cegły zaczęły się ruszać, tak jedną po drugiej, dłubiąc, usuwano. Zrobiono niewielki otwór i wszyscy obecni weszli na poddasze. Ktoś ostatni założył otwór cegłami. Było nas jak pamiętam kilkanaście, może z 15 osób, w tym małe dzieci. Biegliśmy poddaszem aż do drugiej wieży w której (jak wiedzieliśmy), nie było schodów. W szybkim biegu przeszkadzały nam grube belki, podtrzymujące zadaszenie. Ale dzięki tym belkom mieliśmy się potem, później, za czym schować.

Biegnąc słyszeliśmy cały czas, jak strzelał karabin maszynowy i wtórowały mu pojedyncze wystrzały

oraz wybuchy granatów. Nie zdawałem sobie sprawy, co się tam dzieje, ojciec ani znajomi nie zabierali głosu, byli wystraszeni nie mniej niż ja. Schowaliśmy się za ostatnią belką rusztowania i siedzieliśmy jak myszy, cicho i z zapartym tchem. Wokół nas było ciemno, gdyż jak już wspominałem nie było schodów na tej wieży. Wejście do wieży było zamurowane. Po jakimś czasie zobaczyliśmy w poświacie okna nad zakrystią, dwie postacie idące w naszą stronę. Byli to mężczyźni z karabinami, szli w naszym kierunku. Zrobiło się małe poruszenie, ale tata powiedział: "siedźcie cicho, to może nas nie zauważą". Wszyscy myśleli to samo, że może nas już odkryli. Deszcz przeszedł chyba wszystkim po plecach. Jeszcze bardziej przylepił się do belek i czekaliśmy, co będzie dalej. Oni uszli jeszcze z parę metrów, przechodząc przez belki poddasza i stanęli nadsłuchując, a my wstrzymaliśmy oddech. Po paru minutach tak silnego napięcia odetchnęliśmy, zauważyliśmy, że oni (a byli to najpewniej mordercy z kościoła), zawrócili i odchodzą, a my odetchnęliśmy z ulgą. Zostaliśmy na razie uratowani przez grube belki poddasza. Ale za jakiś czas (może po pół godziny) powietrzem targnął potężny wybuch, aż strop pod nami się zatrząsł, nie wiedzieliśmy, co się dzieje. Za chwilę do wieży zaczął napływać czarny dym i swąd spalonej słomy. Tata domyślił się, że pewnie to „UPO-wcy” wysadzili ołtarz lub katakumby hrabiów Czackich pod posadzką kościoła.

Gdy byliśmy zajęci ostatnimi przeżyciami i podsłuchiowaniem, co dzieje się w kościele, niespodziewanie zaczęło grzmieć i błyskać. Spadł duży (ulewny) deszcz, słyszeliśmy, jak dudnił o blachę dachu. Bardzo głośno grzmiało. Okazało się, że burza była gwałtowna i trwała krótko, ale to wystarczyło, żeby „UPO-wcy” wynieśli się z kościoła. To już było około czwartej godziny po południu. Takie było nasze napięcie przez ten czas, że nie liczyliśmy, ile to wszystko trwało. Ktoś wszedł od zakrystii i powiedział nam, że Ukraińców już nie ma w kościele. Nie chcieliśmy uwierzyć. Pomalutku, z duszą na ramieniu, zaczęliśmy przechodzić przez belki w kierunku wyjścia, do naszej dziury w tamtej drugiej wieży. Schodząc na schody wieży zobaczyłem pierwszą ofiarę, była to zamordowana kobieta. Leżała na schodach, i jak pamiętam, głową w dół, nie żyła, a kałuża krwi ściekała aż na dół schodów do kościoła. Wychodząc z wieży do kościoła zobaczyliśmy, co się stało, ogarnęło nas przerażenie i strach.

Na posadce kościoła leżała biała powłoka [kurzu z wapiennego tynku] i ludzie byli cali biali. Okazało się, że jak UPO-wcy zapalili słomę, by zdetonować pocisk artyleryjski (pocisk miał zniszczyć ołtarz) to posypał się tynk wapienny z sufitu i ścian kościoła. Ten pył pokrył wszystko białym proszkiem i kawałkami tynku (posadzkę i ludzi). Wybuch nie zdołał zniszczyć ołtarza. Tylko nadpalone zostały stopnie przed ołtarzem i dywany.

Dużo ludzi leżało w kałużach krwi, inni klęczeli, jeszcze inni wołali o pomoc. Widziałem jak jedni pomagali drugim by się wydostać spod innych, martwych ciał. Jeszcze inni wynosili na rękach swoich zmarłych lub rannych. Ojciec przerażony tym, co zobaczył, przypomniał sobie, że w kościele był także dziadek Józef Jezierski, zaczął go szukać, chodząc od jednych zwłok do innych, ale dziadka nie było, ani wśród żywych, ani zmarłych. Ojciec pociągnął mnie w kierunku zakrystii. Ale by tam dojść, musieliśmy przejść przez kałuże krwi, w której leżały trzy kobiety. Jak mi się zdawało, była to matka z córkami. Ojciec wziął mnie na rękę i przeniósł, by nie nadeptać na leżące kobiety. Dziadka zobaczyliśmy jak stał schowany za bocznymi drzwiami. Były to duże drzwi, którymi wchodziło się do kościoła i do zakrystii. Dziadek stał za tymi

drzwiami, był jakby nieprzytomny, miał osmalone (nadpalone) wąsy, i nadpaloną marynarkę. Pamiętam jak ojciec powiedział do dziadka: "niech tata idzie do domu i powie Gienkowi, (to brat ojca który mieszkał z dziadkami w Starym Porycku) by zabierał rodzinę i niech uciekają w kierunku Sokala". (Sokół był poza granicą, [dawna granica rosyjsko austriacka], była to już Generalna Gubernia, tak to Niemcy nazywali). Dziadek zapytał ojca: "a gdzie wy idziecie", ojciec odpowiedział, że w świat, i że do Sokala.

Gdy rozmawialiśmy z dziadkiem, widziałem, jak ludzie wychodzili, uciekali z kościoła, nieśli ranne dzieci na rękach. Wszyscy byli bardzo wystraszeni, widziałem, że niektórzy byli zbroczeni krwią. Szli do domów z nadzieją, że tam znajdą schronienie, a tam (jak się potem okazało) już na nich czekali UPO-wcy, by dalej mordować. Tych co byli w domach, i tych wracających z kościoła. Tak wymordowano całą rodzinę Palinków.

Po rozmowie z dziadkiem nie poszliśmy do Palinków (na szczęście), ani do naszego pokoju w baraku, chociaż był on po drodze. Poszliśmy w kierunku chutorów pod lasem, tam ojciec miał znajomego Ukraińca, dawnego sąsiada z Pawłówki, Mielniczuka Kiryka i na niego liczył, że nam pomoże. Biegliśmy oplotkami, unikając spotkania ludzi, tylko psy za nami szczekały. Po godzinie takiego biegu skryliśmy się w zagonie żyta (żyto było wysokie, bo to już krótko przed żniwami) i czekaliśmy, aż się ściemni, by pójść do Kiryka. (To jest imię.)

Gdy tak cicho, trochę drzemiąc, siedzieliśmy, raptem usłyszeliśmy głosy Ukraińców, szli obok drogą. Opowiadali sobie jak to "strilały do Lachów (strzelali do Polaków) w poryckim kościele". Pochyliłiśmy niżej głowy i czekaliśmy, aż przejdą. Aż tu nagle usłyszeliśmy ujadanie psa, zdrętwiliśmy ze strachu, ale prawdopodobnie był to jeszcze szczeniak. Gdyby to był stary pies, to już by było po nas. Zdaliśmy sobie z tego sprawę dopiero gdy Ukraińcy odeszli, a pies przestał ujadać. Prawdopodobnie pies biegał wokół idących, oszczekując swych panów.

Kiryk nawet mocno się nie zdziwił, wysłuchał ojca o tym co się stało w kościele. Przyjął nas, do swego domu, nakarmił i przenocował. Ja spałem z jego synem w łóżku, a tata w stogu z sianem, tak było bezpieczniej, i dla Kiryka, i dla nas. Drugiego dnia gospodarz (12 lipca) na prośbę ojca pojechał do Palinków w Porycku i przywiózł nasze spakowane walizki. Jak mówił, nie jechał koło kościoła bo się bał, że spotka UPO-wców . Od sąsiadów Palinków dowiedział się, kogo z nich zamordowano w Kościele. (zamordowano dziadka Palinkę i jego wnuczkę, a księdza przy ołtarzu tylko raniono). Gdy ojciec szedł do kościoła, nie miał przy sobie dokumentów, ani żadnych pieniędzy, (ale wszystko było w walizce ojca). Jak Kiryk wrócił z Porycka, to powiedział nam, że Upowcy po wyjściu z kościoła poszli mordować po domach.

Żona Kiryka dała nam chleba na dalszą drogę. Poczekaliśmy, aż zrobiło się ciemno, bo mieliśmy przejść przez tory kolejowe, a to była droga Ukraińców, którą jeździli do Porycka. Poczekaliśmy, aż zajdzie księżyc i przebiegliśmy tory. Po pewnym czasie spotkaliśmy znajomych i razem już śmieiej szliśmy do granicy (była to granica pomiędzy Ukrainą a Reichem). Było już rano. Niemcy dopiero wychodzili na granicę, nie zatrzymali nas, tylko kazali iść prosto do Sokala. W Sokalu spotkaliśmy już kilkadziesiąt osób, takich jak i my, uciekinierów z okolic Porycka, Ale oni nic nie słyszeli o naszych dziadkach, stryju i stryjence z dziećmi ze Starego Porycka.

Ale i Sokalu nie było spokoju, pewnej nocy obudziły na pojedyncze strzały i kanonada karabinu

maszynowego. Rano dowiedzieliśmy się, że to z komendy niemieckiej policji ukraińska policja uciekła w nocy do lasu z całą swoją bronią, stąd ta nocna strzelanina.

Dalszy okres okupacji niemieckiej spędziliśmy w Karnkowie u dziadków Bańcerów.

Mama już zmarła, a my z bratem i ojcem zamieszkaliśmy w Kwidzynie.

O zamordowaniu dziadków i całej rodziny Jezierskich dowiedzieliśmy się dopiero w latach 1960-tych. Nasz znajomy Afanazy Hoszko, Ukraińiec, były pracownik warsztatu w Porycku, po wojnie zamieszkał na Śląsku. Pojechał w latach 1960-ych do Porycka, aby odwiedzić rodzinę. Rozmawiał ze swoim bratem Siergiejem i on mu opowiedział, jak zamordowano naszych dziadków ze Starego Porycka.

Otóż naszych dziadków: Józefa i Jadwigę Jezierskich, prababkę Ulanowską oraz stryja Gienka, jego żonę i dwoje nieletnich dzieci zamordowali sąsiedzi Ukraińcy. Przewodził im Ukraińiec Klim Matwiejczuk, sąsiad ze Starego Porycka. W domu dziadków była jeszcze rodzina żony stryja. Był tam dziadek i babka Zembrzyscy, oraz ich starsza córka z dwojgiem dzieci w wieku 12-14 lat, i była tam jeszcze młodsza siostra stryjenki. Czyli razem w domu było 13 osób. Wszyscy zostali zamordowani na podwórku a dzieci utopiono w studni. Stryj Gienek, ranny, z żoną, próbował uciekać, UPO-wcy dogonili ich na wale pomiędzy jeziorem a stawami i tam dobili. Dom został spalony a ich cały dobytek zabrał główny morderca Matwiejczuk. Nazwisko Jezierskich, Eugeniusza i jego żony Marii widnieje na płycie nagrobnej na cmentarzu w Pawliwce. Ten, kto opowiadał o tym okropnym mordzie, musiał tam być, lub dowiedział się od któregoś z morderców.

Przepraszam Pana że ten artykuł jest taki ; ale jak go przenosiłem do poczty to się tak poukładał i nie umiem sobie z nim teraz poradzić. Próbowałem go jakoś poprawić, ale mi nic się nie udaje.

Z poważaniem Ryszard Jezierski